Nr. 4. Lwów, 15. lutego 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

PIGSTICKING.

Kartka z wrażeń myśliwskich

Przez **ANTONIEGO Hr. STADNICKIEGO.**

(Dokończenie).

Polowanie w głównych zarysach odbywa się podobnie jak u nas. Obszar przeznaczony na łowy podzielono na dwa mioty, które przepędza nagonka, posuwająca się jednym rzędem; myśliwi ustawieni na czole lub na flankach, pilnują wzrokiem i słuchem i mają rozkaz nie puszczać się za zwierzem przed siebie, ale wyczekać, aż wyjdzie z miotu i gnać go po za siebie. Na razie trzeba stać cicho i o ile możności w ukryciu, żeby dzika zdaleka nie spłoszyć, za nadejściem naganiaczy zwolna przed nimi postępować. Rozkaz łatwiejszy do wydania niż do spełnienia. Konie zwłaszcza młode, nie chcą ustać w miejscu kręcą się, przestępują z nogi na nogę, oganiają się od much, co chwila wyzierają z ukrycia ku wielkiej niecierpliwości myśliwego, upatrującego z wytężoną uwagą zwierzyny.

Z płaskowzgórza, na którem stoimy, roztacza się widok wspaniały.

Ziemia usłana krzakami karłowatej palmy, której palczaste liście, twarde i ostre, jeżą się na kształt tysiąca sztyletów; kałuże po wczorajszym deszczu chlupocą pod kopytami końskiemi i odświeżają nieledwie w okamgnieniu pożółkłą i poszarzałą roślinność po kilkumiesięcznej posusze. Przed nami zwarty gąszcz mirtowych krzewów, oraz innych odmian, których mi nazwać niepodobna, służy za schronienie dzikom i ciągnie się z pagórka na pagórek po, falistym terenie, aż hen do krańców widnokręgu, który zamykają błękitniejące w dali góry Małego Atlasu, w kilku wyraźnie zarysowanych pasmach.

Za nami o jakie dwie staje, wzgórze się kończy i w stromych urwiskach, po skałach i glazach zbiega do piaszczystego wybrzeża, za którem szumi i przewala się Atlantyk.

W porannem słońcu barwi się on w dwa odcienia — daleko, tam, gdzie morska toń z niebieskim stropem się styka, świeci fioletem biskupim — bliżej nas stroi się w zieloną szatę, tak zieloną, jakim bywa nasz Dunajec w pogodne dnie wrześniowe, wreszcie nad brzegiem snuje się szeroki pas mlecznej piany, jak kosztowne gronostaje na kraju monarszego płaszcza.

Wszystkie wysiłki artystycznych wyobraźni dla uosobienia nieokiełzanej potęgi, która tu się przed naszym wzrokiem roztacza, od posągów przedstawiających starożytnego Posejdona aż do obrazów Böcklina, przychodzą na myśl na widok tej fali, która rytmicznie wznosi się na horyzoncie, mieni się ametystem i szmaragdem — uderza z głuchym łoskotem i zamiera w rąbku piany.

Są wybrzeża, zwłaszcza nad morzem Śródziemnem, gdzie modra roztocz lekką pieszczotą obejmuje ląd i w cichym przepływie zarzuca nań giętkie rośliny wodne, niby kosmyki płowych warkoczy — nie tak Ocean. On nawet w ten pogodny, słoneczny poranek bryzga szumowinami i tłucze wałem spiętrzonych odmętów na milowej przestrzeni w kamienny zrąb brzegu. To nie złotowłosa Najada, ale olbrzym i ojciec wód, władca wichrów, mocen uciszyć je lub rozpętać jednem: *Quos ego*...

Odwieczna walka między ruchliwą burzliwością morskich wirów i głębin, i obojętnym, biernym odporem niewzruszonych posad stałego lądu, toczy się bez świadków, żaden ślad ludzkiej pracy, żadna budowla, żaden żagiel na morzu nie dowodzi opanowania przez umarłe czy żyjące pokolenia tej prastarej ziemi. A jednak wzdłuż tych brzegów musiały płynąć fenickie i kartagińskie korabie, w tych stronach stać musiały punickie i rzymskie wojskowe stannice i handlowe siedziby. Widocznie wiatr wiejący od Sahary, musiał zasuć zapomnieniem jak piaskiem pustynnym szczątki ludzkich wysiłków, cierpień i zdobyczy. Żeby ożywić ten bezduszny krajobraz, tchnąć w niego ducha, trzeba się cofnąć w przeddziejowy okres baśni, po za historyczne wieki.

Tutaj, za czasów, kiedy ten kraj nazywał się jeszcze nietylko Marokiem, ale nawet Maurytanią Tingitana, mieściły mitologiczne podania olbrzyma, dźwigającego na barkach sklep niebieski; z tych wierzeń i poetycznych fikcyj nic nie zostało, prócz wspomnienia i nazwy gór, ale niezmieniona postać rzeczy przywodzi na pamięć wokół nich jak powój pnące się legendy. I to, co było kamieniem węgielnym wiary w nadprzyrodzony porządek świata i wiedzy o jego naturalnym ustroju, służy dziś zaledwie za igraszkę przelotnej myśli.

Uroczego nastroju nie mąci żaden hałas; gromadka brodatych kóz zbliża się i przygląda ciekawie niezwykłemu widowisku, jakim jest dla niej jeździec i wierzchowiec, w dali świecą jak jarzące gromnice, płomyki stalowych grotów z zielonych klombów i czasem parsknie zcicha koń, przyczajony w ukryciu.

Dumania przerywa nagle pytanie, które każdy nowicyusz sobie zadać musi:

Jeżeli nagle wychynie się z gęstwy dzik, jak pędzić za nim po tym terenie, po którym konie w stępie z taką przezornością stąpają?

Istotnie pod palmami i rozlicznem krzewiem, sięgającem po brzuchy końskie, kryją się wykroty, jamy, szczeliny, rumowisko, sterczą kamienie, a na tych kamieniach — jak w krakowiaku — jeszcze inne kamienie; wszystko na równi nietylko pochyłej, ale miejscami stromej niebezpiecznie — każda z tych przeszkód tem niebezpieczniejsza, że po części niewidzialna, może przyprawić konia i jeźdźca w najlepszym razie o ciężkie potłuczenie. Pocieszającą odpowiedzią sa opowiadania, których bywalcy nie szczędzą, o Angliku, który w roku Pańskim tym a tym zabił się na miejscu; o tym lub owym uczestniku polowania, którego przeniesiono do Tangeru na noszach z pękniętą czaszką, o amazonkach, które wylatywały z siodeł jak z procy i padały przez elewacyę w gałęzie drzew i t. d. Nie omieszkują też dodać, że trudny teren nie stanowi jedynego niebezpieczeństwa, że gorszymi od niego wrogami publicznego bezpieczeństwa są ci zapaleńcy, którzy w pogoni za dzikiem, niewprawną ręką kłują nie dzika, ale towarzyszy.

Na razie trudno się naocznie przekonać o prawdziwości tych gadek, bo zwierzyny jakoś nie widać. Cisza ustąpiła gluchemu pomrukowi nagonki, pomruk przemienia się w krzyk, gwizd, hałas, nawoływania, palbę janczarek. Zdaleka przysiągłbyś, że to nasze Mazury piszczą, wyją, hałasują i „terkają“ po gałęziach.

Niestety, wszystko na próżno, dzików nie ma, czy wyniosły się bokami, czy też przebiły przez nagonkę wstecz.

...Różnie powiadano o tem,
Lecz nikt pewnie nie wiedział ni wtenczas,
[ni potem.

Drugi miot równie niefortunnie się zapowiada, wtem dyrektor polowania prostuje się w siodle, miele w zębach niewyraźne przekleństwa i puszcza się, jak strzała w tył, nie pytając o innych. Nie dzika jednak on dostrzegł, ale kłusownika, który zastawiał sidła, czy też na upatrzonego z rusznicą czatował. Po chwili wraca wraz z delikwentem, rozmowa między nimi była niepodobna, bo jeden umie tylko po angielsku, drugi tylko po arabsku, ale wyraźne a nawet dotkliwe *argumentum ad hominem* drzewcem po plecach starczyło za wszystkie wywody. I kłusują samowtór przed całą linią myśliwych, Arab potulnie na mule, Anglik groźnie na spienionym rumaku.

Mnie ten epizod bawi, przypominając mi niejedno polowanie, na którem ukradziona i odebrana narączka chrustu stanowiła jedyne łowieckie trofea w bezzwierzynnej, dobrze mi znanej okolicy. Usypiające zajęcie budzi widok kilku jeźdźców, cwałujących, co koń wyskoczy po skłonie pagórka — dzika nie widać i wkrótce myśliwi zniknęli z oczu, ukazując się wreszcie po długiej gonitwie zziajani i posępni, na koniach z bokami pokrwawionymi od ostróg i cierni... bez łupu; zanim do niego dotarli, zwierz dopadł moczar, na których konie poczęły ustawać, i wskoczył w gąszcz, gdzie już nawet psy wytropić go nie zdołają.

Po południu nie lepiej nam się wiedzie, wszystkie obroty, marsze i kontrmarsze pozostają bez skutku, dzików jak nie ma, tak nie ma. Z góry zjechaliśmy nad morze i polujemy w terenie dziwnie do naszych kęp podobnym, tylko zamiast wierzb i wikliny ciągle mirtowe klomby, palmowe krzaki i pnie korkowych dębów tworzą przed

nami i wokół nas zapory, przez które nieustannie jak kozom skakać nam trzeba.

Wieczorem po obiedzie nieuniknione wywody i rozumowane domysły o braku zwierzyny; jedni twierdzą, że winna temu posucha, inni, że właściwie deszcz ostatni — wszyscy narzekają na kłusowników i bez mała gotowi domagać się straży leśnej i stosowania paragrafów nieistniejących ustaw ochronnych, ten i ów półgębkiem krytykuje kierownictwo. Jednem słowem: *tout comme chez nous.* Wątek rozmowy urywa się o godzinie 8 wieczór i wobec smutnej teraźniejszości przenosi się myśl w dziedzinę wspomnień. Brak amazonek odjął łowieckiemu orszakowi najpoważniejszą ozdobę; one też tylko umiały najpiękniejszą ze sztuk pięknych, według określenia Renana — niewieścią zalotnością, zmienić namioty w salony i przy obozowych ogniskach zastąpić myśliwskie wrażenia światowemi wzruszeniami.

Brakuje zwłaszcza księcia i księżny *** z Tangeru, gdzie on na kilka zawodów w hiszpańskiem poselstwie urzędował; nie opuszczali żadnej obławy na dziki, a ona, żegnając się niejako z rozrywkami i zajęciami światowemi, przyznawała z żalem, że ze wszystkich zabaw i uciech wielkopańskich niczego nie żałuje, oprócz marokańskiego pigstickingu.

Znani i lubieni są oboje w dyplomatycznych salonach i wielkoświatowych zebraniach high-life'u w Londynie, Madrycie, Wiedniu i mniej więcej we wszystkich stolicach — on spadkobierca jednego z pierwszych nazwisk i najstarszej grandezzy hiszpańskiej, i ona, złotowłosa córka Albionu, zgrabna i lekka jak motyl, doskonała i aż do zuchwałości śmiała amazonka. Celowali we wszystkich sportach i błyszczeli wszystkiemi towarzyskiemi zaletami i jak Rolla byli

grand seigneur tel que Dieu l'avait fait,

bo i oni niestety nie praktykowali w szkole Podfilipskiego, nie „umieli życia sobie urządzić“ — i dziś on, w nasze utylitarne czasy jak w sieć zapędzony, spóźniony typ wielkiego pana w stylu ks. Ligne, pokutuje gdzieś w Mozambiku za brak kupieckiego wyrachowania; ona w sewilskim pałacu kryje niedostatek w zbytkownem otoczeniu. Naprawdę, i ten epizod także przypomina mi nasze strony i stosunki... „Na księżyc wróćmy, bo mi smutno“ — mówi Dantyszek Piast herbu Leliwa.

* * *

Nazajutrz dzień spoczynku dla nagonki i koni. Ci, co mają świeże konie do odmiany, szczują chartami zające, inni wybierają się ze strzelbami na kszyki. Brnąc po kolana w bagnie, wśród wielkiego hałasu o nic, mam sposobność przekonania się, że t. zw. sokoli wzrok dzikich trzeba między bajki włożyć. Analfabeta z karpackich gór tak samo jak ów z Atlasu, gorzej i na krótszą odległość widzi, gdzie ptactwo zapadło lub postrzelone i t. d., niż n. p. ten giełdziarz londyński, który życie strawił nad rachunkami. -- Przy śniadaniu brakuje F., który w galopie za psami nie dopatrzył króliczej jamy, spadł z konia i dosyć dotkliwie się potłukł.

Wieczorem ożywia zebranie obecność Hadź Abdallaha; po natarczywych prośbach raczył zjawić się wśród nas, zajada daktyle, popija czarną kawę i prawi fraszki w rodzaju Reja, czy Rabelais'a. — Ten Arab o powierzchowności Falstaffa albo Zagłoby ma też ich swadę i rubaszną jowialność. Opowiada on przygody różnych sekretarzy i *attachés*, którzy przesunęli się przez Tanger i brali udział w pigsticking'u. Mówi po arabsku, ale bracia S. w lot tłómaczą na angielszczyznę te dykteryjki, a żywa giestykulacya i gra fizyognomii dodaje im dosadności i samorodnej *vis comica.* Nie oszczędza on w nich Niemców, ani Francuzów, a tylko Anglików uszczypliwymi żarty nie ośmiesza, ale bo też polityka zajrzała do namiotu wraz z tym pociesznym personatem — zamiłowanie sportów zbliżyło go już przed wielu laty do długoletniego posła sir'a John Drumond Hay i jest pod opieką, a nawet podobno poddanym rządu królowej Wiktoryi. Jak przystało na obywatela W. Brytanii i godnego „kompaniona“ w rodzaju szekspirowskiej i sienkiewiczowskiej kreacyi, nie gardzi on mimo zakazów koranu, pełną szklanicą, ale wobec zbliżającego się Ramadanu zdobywa się on na niezwykłą wstrzemięźliwość i z żalem, ale stanowczo odpycha ofiarowany kieliszek whisky, przestając na hawańskiem cygarze.

* * *

We środę rano polujemy dalej z tem samem zawsze powodzeniem. Drobny, przenikliwy deszczyk raz jeszcze przywodzi mi na pamięć ojczyste strony. Nie trzeba jechać tam, gdzie pieprz rośnie, żeby godzinami moknąć na stanowisku i za nadejściem nagonki dowiedzieć się, że było sześć dzików w miocie, ale że „wykpiły“ się bokiem — tylko szakal pomykający jak lis między krzakami, przypomina mi, że nie nad Dunajcem wypadło mi na próżno wytrzeszczać oczy.

Wreszcie po dłuższem oczekiwaniu widzę, że mój sąsiad rusza co koń wyskoczy, krzycząc w niebogłosy. O jakie 1000 kroków sunie dzik, a za nim kilku jeźdźców; pochyleni naprzód, z włóczniami w pół ucha końskiego, bodą ostrogami konia, chcąc dopędzić zwierza, który już wysokich gąszczy dobiega. Przedemną także miga na chwilę najeżona szerść na dziczym grzbiecie, ale ginie natychmiast w gęstwinie i tylko po ruchu gałęzi mogę się w pogoni kierować. Mój koń wskakuje w sam środek mirtowego klombu, z którego wydostać się mogę dopiero po dłuższym czasie — oczywiście tracę ślad zwierza, który był odemnie nie dalej jak na dwie długości kopii. W pogoni straciłem z oczu towarzyszy, i co gorzej kierunek, w którym posuwać się wypada; spieniony koń robi bokami i trzeba zwolnić kroku, ale ten niezbędny wypoczynek oddala mnie jeszcze bardziej od reszty myśliwych tak, że mi błądzić po kniei przychodzi. Szczęściem psy zziajane i pokrwawione od cierni i kolców wskazują mi drogę. Złączywszy się z resztą myśliwych dowiaduję się, że dwa niewielkie warchlaki padły jedynie w tej niefortunnej pogoni.

Pod wieczór wiatr wiejący od morza przeistacza się zwolna w burzę — deszcz ustał, ale wiatr wzmaga się nieustannie, listu pisanego do domu dokończyć niepodobna, kołki, sznury i żaglowe płótna namiotów skrzypią i trzeszczą złowrogo. W nocy budzi mnie ze snu nagłe uczucie zimna w nogach — to polowa żelazna umywalnia, którą wiatr wraz z pełną miednicą na łóżko mi rzuca, po chwili z brzękiem stłuczonego szkła obala się inny jeszcze sprzęt -- stolik wraz z zegarkiem, świecą, zapałkami, szkłami, nabojami i t. d.

Rozpacz mnie ogarnia tem bardziej, że wicher powyrywał kołki, przedarł się do wnętrza namiotu i że lada

chwila gruby maszt, na którym płótno rozpięte może mi upaść na głowę. Wołania o pomoc na nic się nie przydają, bo i tak cała służba przytrzymuje powrozy, zanim zdoła ktoś nowe kołki wyciosać i wbić w ziemię; — to intermezzo trwa półtorej godziny.

Ostatni dzień polowania dopiero nad samym wieczorem przyniósł nam upragnioną zdobycz. Poranek i popołudnie spędziliśmy w lesie korkowych dębów, obdartych z kory i uschłych po części, pełnym wykrotów i sterczących pni, wśród których galop musiałby być stosunkowo łatwiejszy, ale stokroć bardziej niebezpieczny, niż na niełatwym przecież terenie dni poprzednich. Dopiero na grzęzkiej łące na skraju lasu wysypały się dziki i tu trzeba było widzieć, jak Hadź Abdallah, ta beczka małmazyi, *this bed-presser*, *this horse-backbreaker*, *this huge hill of flesh*, żeby użyć falstaffowskich określeń, przesiadłszy się na siwego konia o stalowych iście nogach i krzyżach, z oszczepem w ręku wyprzedził nas wszystkich, pierwszy dopadł dzika i potężnem pchnięciem przygwoździł go do ziemi; wraz otoczyli go i inni jeźdźcy; zwierz skłuty kilku lancami kwiczy przeraźliwie, rzuca się jeszcze w przedśmiertnych podrzutach i pada bez życia. Na drugim końcu polany rusza znów nagonka odyńca, konie puszczone w cwał doganiają go, ale on kluczy jak szarak, pod kątem prostym zmienia kierunek, myśliwi z trudem hamują rozbiegane konie, w tem bracia S. biorą go w obroty niby charty i równocześnie z dwóch stron wbijają weń oszczepy po drzewce — odyniec śmiertelnie ranny kręci się przez chwilę w kółko, obracając jak w kieracie tkwiącemi w sobie włóczniami i wali się wreszcie na ziemię.

Aż do zmierzchu trwa gonitwa za coraz to nowymi dzikami, które z gąszczu wypadają na otwarte pola, ale konie wyczerpane galopem na śliskim i rozmokłym gruncie ustają — niżej podpisanemu umyka w ten sposób pewny niemal łup i zaszczyt „pierwszej włóczni“.

W niespełna dwie godziny zabito 5 sztuk, ktore wynagrodziły nam sowicie wszystkie trudy i zniechęcające niepowodzenia poprzednie.

* * *

Nazajutrz wracamy na pomęczonych szkapach do Tangeru. Po kilkugodzinnej jeździe widnieją na horyzoncie białe mury miasta, podobne, jak ktoś z myśliwskiej drużyny zauważa, do bielizny rozwieszonej na sznurach do słońca.

— Czuję się tu już bliżej swoich, — mówi Hiszpan, — sprzykrzyła mi się nieustanna rozmowa angielska, gdybym dłużej po hiszpańsku nie słyszał, zapomniałbym ojczystego języka.

Ten żart może innych rozśmieszać, mnie do smutnych rozmyślań pobudza. Hiszpan odnajdzie rodaków, Wiedeńczyk za chwilę rozmówi się po niemiecku, Anglicy na polowaniu, w mieście czy na morzu, odbierają swoje dzienniki, mówią niemal wyłącznie swoim językiem, żyją swojem życiem, — ja tylko jeden od pół roku dźwięku rodzinnej mowy nie słyszałem i w Tangerze oczekiwać mogę tylko listu od rodziny i kilka numerów poczciwego *Czasu*.

Anglicy tak ogólnie podziwiani dla swej przedsiębiorczości nie wiedzą właściwie, co znaczy na prawdę rzucić czy opuścić swój kraj — czem jest rozłąka z wszystkiem co swoje i co za rzewne i tęskne uczucie wiąże Polaka na obczyźnie z ojczyzną, której ślad tkwi tylko w wspomnieniu, o której się pamięta tem żywiej, że jej nic nie przypomina i która jest tylko „krajem lat dziecinnych“.

I jako jedyną pociechę w tym względzie wertuję naszych emigracyjnych poetów, których melancholię teraz lepiej niż dawniej rozumiem, odczytuję ostatnie dwa emigracyjne poematy „Latarnika“ i „Starca z Maripozy“ i czasem zadaję sobie pytanie, czy i ja nie stanę się „głuchy w domu ojców moich“.

Ale na cóż wzniecać niewczesne obawy i wywoływać posępne zmory, na cóż przestać na małodusznym rozdźwięku! — Czy nie lepiej nucąc z cicha najsławniejszą i najbardziej optymistyczną z emigracyjnych pieśni, mazurek Dąbrowskiego, kończyć życzeniem powrotu po marokańskim pigstickingu, do łowów w naszych kniejach na nasze dziki?

Tanger, 8. lutego 1900.

URYWEK
z „MOICH WYPRAW W UKRAIŃSKIE STEPY“.

Na południu Dniepr tam płynie!
A cześć Ławrze! Sława Bogu!
Hulaj koniu po rozłogu,
Nam żyć tylko w Ukrainie!
„Pieśń o ziemi naszej“.
Wincenty Pol.

...Nigdzie się nie spi lepiej, niż w takiej gościnie, jak Stawiszcze, ta swobodna i miła atmosfera uspokaja nerwy, rozgania czarne myśli, budzi w sercu nadzieję, że kiedyś będzie lepiej!

Lecz wszystko — złe czy dobre — na tym świecie ma swój koniec; wierny Mekita wchodzi do pokoju, podnosi story w oknach, życzy mi dzień dobry; z rozpromienioną twarzą mówi mi, że po dniach posępnych, słońce dzisiaj świeci, że pan hrabia oddawna na nogach, dał stósowne rozkazy, psy i konie myśliwskie poszły naprzód do Krzywca czy do Janiszówki, że po śniadaniu panowie powozami tam się udadzą. Wyskakuję z łóżka, ubieram się w wysokie buty i mój frak czerwony, schodzę na dół do sali jadalnej, witam się z gospodarzem domu i z moimi towarzyszami w imieniu św. Huberta. Wszyscy w czerwone fraki ubrani.

Wszystkim pilno na rendez-vous, dziesięć wiorst ztąd odlegle, jak nam pan Branicki powiada. Po chwili wsiadamy do powozów, półkrytych lub całkiem otwartych, czwórkami w lejc zaprzeżonych. Pan Branicki mi mówi, że jedziemy do Krzywieckiego cover'u, bo to najbliższy i najpewniejszy ze wszystkich. Te stawiskie konie nie tylko mają nogi, lecz możnaby myśleć, że mają i skrzydła, tak szybko biegną po tej ciężkiej, błotnistej drodze.

Przed sobą widzimy w oddaleniu, na tle drzew niebotycznych większego parku, piękny dom Krzywiecki, nad dużym stawem położony. Lecz my skręcamy na prawo

ku Krzywieckiej pasiece, gdzie lis zawsze pewny, widzimy z daleka nasze psy i huntery, które dosiąść mamy, i czerwone fraki służby stajennej. Wysiadamy z powozów, oglądamy psy i konie w doskonałej myśliwskiej kondycyi, koniuszy Anglik, łamaną polszczyzną mówiący, podaje mi klacz skarogniadą „Lady“, kłapouchą, czem się bardzo cieszę, bo wszystkie kłapouche konie, jakie w życiu miałem były doskonałe w użytku.

Jak gdyby na komendę całe towarzystwo siedzi już w siodle, pan Branicki jadąc rozmawia ze sławnym tutaj Trochimem, uczniem starego Robinsona, huntsmana w Białocerkwi. Wszyscy mówią, że uczeń przeszedł mistrza, bo Trochim jest nietylko szalonej odwagi jeźdźcem, lecz i doskonałym myśliwym, co jest wielką zaletą każdego huntsmana. Słusznie cieszy się on wielką laską swego pana, który umie w nim te zalety ocenić. Pokazywano mi rów znacznej szerokości, wodą napełniony, na brzegu stare wierzby rosną. Naoczni świadkowie opowiadają mi, że przed laty, kiedy śp. pan Adam Potocki co roku w jesieni przyjeżdżał z Krzeszowic własnymi końmi na Ukrainę, żeby rodzinę swojej matki i żony odwiedzić i na lisa polować, zdarzył się fakt zapisania godny. Psy idą na oko, młody wówczas Trochim w najszybszym galopie najeżdża na ten rów szeroki, lecz żeby czasu nie tracić, skacze przezeń w miejscu, gdzie rośnie stara wierzba o poziomych konarach. Żeby zaś głowy nie rozbić o wierzbę, kładzie się krzyżami na grzbiecie konia i w tej pozycyi rów ten wysoki przesadza.

Polowanie się kończy szczęśliwem „hallali“, ze szczęśliwszym jeszcze dzielnym Trochimem na czele. Pan Adam Potocki z całym zapałem swej rycerskiej duszy zeskakuje z konia, dobywa z kieszeni pulares rublami napełniony, zegarek i łańcuszek złoty, ściska w uniesieniu za ramiona dzielnego Trochima, chwali go i obdarza tymi cennymi darami.

Wjeżdżamy do cover'u, rozjeżdżamy się w tej Krzywieckiej pasiece, w tej oazie wśród stepu, o dębach niebotycznych, gdzie przed laty pszczoły miód zbierały. Niegdyś było to źródło tutejszych dochodów, ta złota patoka, dzisiaj ta gałąź gospodarstwa krajowego całkiem zaniedbana. Zamiast pszczół chowają się tutaj lisy, które panu Branickiemu i jego gościom życie osładzają.

Uroczy to widok, na tle tej pięknej dębiny, dwadzieścia koni i tyleż fraków czerwonych, rozsypanych po tym lasku. W środku towarzystwa jedzie dzielny Trochim otoczony psami, od czasu do czasu rozlega się głos jego trąbki, dobrze znanej tym stepom ukraińskim.

Nareszcie jak chór spiewaków w operze wielkiej stolicy, wszystkie psy zaczynają głosem gonić, jesteśmy więc na tropie lisa. Obawa, żeby nie wskoczył do jamy zasępia nam te miłe chwile, lecz Trochimowi się to nie zdarza, odgłos jego trąbki, jego „talli-ho“ dobrze znany mieszkańcom tej pasieki, zmusza chytrego lisa, że musi on wyskoczyć w step otwarty! Psy idą na oko, lecz lis stepowy szybko biegnie, tracimy go wkrótce z oczu, następuje ucięcie polowania, ale Trochim zaręcza, że lis będzie naszym. Wszyscy się temu przypatrujemy, jak Trochim robi większe koło, trąbi i psy nawołuje każdego po nazwisku, nareszcie rozlega się znowu w stepie ta głośna muzyka goniącej psiarni. Psy idą szybko, jedziemy ostrym galopem, skaczemy przez niezliczoną ilość szerokich rowów, bo tutaj pola gminne od łanów dworskich rowami odgraniczone. Nie trudne to zadanie dla jeźdźca, bo te konie stawiskie jak strzała idą na przeszkodę, byle im nie przeszkadzać i spokojnie w siodle siedzieć, a takie madre, łagodne, posłuszne, że nie było wypadku, by koń prze-



POLOWANIE W JARCZOWCACH.
(Jedna z pierwszych prac Juliusza Kossaka).

szkody odmówił, lub drugiego konia, czy jeźdźca uderzył. We wszystkiem znać rękę i oko mistrza. Lisa nie widzimy dłuższy czas za nim jedziemy; sądząc po kierunku, w jakim psy gonią, Trochim zaręcza, że lis poszedł do wsi, gdzie pewnie często bywał i kury zjadał.

Wsie ukraińskie to duże osady, a każde gospodarstwo z ogrodem i dziedzińcem, otoczone częstokołem; niebawem psy nam nikną wśród tych zagród włościańskich. Trochim skacze przez częstokół, drugi, trzeci i dziesiąty, a my wszyscy za nim, ja ostatni się trzymam, aby wybrać najdogodniejsze miejsce do skoków dla mojej „Lady“, z którą już się dobrze poznałem. Psy przestają gonić, widocznie straciły trop lisa, Trochim trąbi i psy nawołuje, powiada, że się zna od dawna na tych wybiegach pewnie starego lisa.

Od razu znowu wszystkie psy się odzywają chórem, lisiura z wyciągniętą kitą szuruje o kilka kroków odemnie, życzę mu szczęśliwej drogi i pierwszy za Trochimem, na czele całego towarzystwa, skaczę przez jeden częstokół za drugim — wszyscy moi towarzysze to widzą, a jak się później dowiedziałem, dziwią się, że w Galicyi ludzie konno jeżdżą.

Wyparliśmy lisa ze wsi, jesteśmy znowu w czystym stepie, psy gonią bez głosu, lecz łakną swej ofiary, idą najszybszem tempem. Trochim pokazuje mi lisa, wygląda on jak ziarnko maku na tym wielkim hyrozoncie. Im bliżej, tem większy on się nam wydaje, „tall-ho, talli-ho“ rozlega się po stepie, nareszcie i psy lisa zoczyły i idą na oko. Trochim często chwyta za trąbkę, więcej z buty niż z potrzeby, bo psiarnia doskonała mogłaby się bez trąbki obejść.

Nareszcie czujemy, że szybkość psów się zmniejsza, widocznie lisowi zaczyna sił ubywać; lecz do końca daleko, bo taki lis stepowy twardy i wytrzymały, chowany nie sztucznie, nie z klatki puszczany, jak to się dzieje w innych zachodnich krajach. Lis skręca na lewo, polowanie za nim, widocznie chce się ratować i schronić do futoru o parę wiorst stąd odległego, lecz zapóźno ptaszku, trzeba było wcześniej o tem myśleć. Jednak ruch trwa jeszcze dłuższe chwile, nareszcie widocznie koniec się zbliża, psy rzucają się na lisa, by go w kawałki rozszarpać, lecz pierwszy przy hallali Józef hr. Potocki, pierwszy zeskakuje z konia, chwyta lisa za kitę i podnosi go w górę Nie ratuje mu życia, lecz ratuje jego futro.

Trochim dobywa noża, ucina lisowi kitę, oddaje ją hr. Potockiemu, do którego dzień ten należy.

Wszyscy zsiadamy z koni, które podobnie jak jeźdźcy chwili wypoczynku potrzebują, omawiamy zdarzenia tego dnia pięknego, wszyscy mi winszują, że tak śmiało jeżdżę, wszystkim dziękuję i dodaję, że łacinnika w tak dalekie strony wysyłać by nie mogli, że moje wawrzyny należą się więcej mojej „Lady“, niż mojej osobie.

Opowiadam tym panom, żem się wśród koni urodził, żem się na grzbiecie końskim wychował, od dziecińštwa mnię uczono, że „człek bez konia, to pół człeka, człek na koniu, to człek cały“, że jeździłem przez lat kilka z powodzeniem na wyścigach we Lwowie i w Krakowie; opowiadam dalej, że mamy w Galicyi sławniejszych jeźdźców odemnie, że biegi pod panami na torze lwowskim są licznie obsadzone, o wiele liczniej niż w Wiedniu i w Budapeszcie, że Kazimierz Tuczyński i Alfred Mysłowski junior, jeżdżą na wszystkich torach wyścigowych austro-węgierskiej monarchii.

Zapalamy papierosy, wsiadamy na konie i naszym tropem wracamy ku Stawiszczom. Wrokiem szukamy w stepie naszych zaprzęgów, które pewnie nas z oczu nie spuszczały. Trochim nam zaręcza, że w kierunku Krzywca z powozami się spotkamy. Istotnie tak się stało; słońce ma się ku zachodowi, kiedy się żegnam z moją dzielną „Lady“ i wsiadam do powozu z panem tych stepów. Polowemi drogami lepiej się tutaj jeździ o tej porze roku, niż drogami gminnemi.

Po zachodzie słońca, wjeżdżamy do Stawiszcz i w bramę pałacową. Przed pałacem zastajemy kilka osób przybyłych w tym czasie, gospodarz domu prosi nas na herbatę do salonu, przy ogniu na kominie posilamy się tym nektarem. Nareszcie rozchodzimy się każdy do swego pokoju, używamy pożądanego po tych znojach „dolce far niente“. Drzwi się otwierają, wchodzi mój Mekita, pyta się, jak mi się polowanie podobało, bo nie wszyscy panowie, którzy tutaj przyjeżdżają, lubią się tak męczyć. Mekita mi powiada, że za pół godziny obiad będzie podany; przebieram się i schodzę na dół do salonu, gdzie całe towarzystwo zastaję zebrane.

Pisałem w Hurku 1900 roku.

Józef Skarbek Borowski.

W sprawie włóczących się psów i kotów.

W kwietniu r. 1900 stosując się do życzenia Redakcyi *Łowca*, zamieściłem korespondencyę odnośnie do wykonywania policyi łowieckiej z §. 43. ustawy łowieckiej — a więc w kwestyi strzelania włóczących się psów i kotów.

Do kwestyi tej powracam obecnie i to nie w formie wywodu teoretycznego in abstracto, ale stanąć mi przychodzi do rozprawy z zupełnie konkretnym wypadkiem, bo z faktem zasądzenia zaprzysięgłego strażnika polowania za wykonanie policyi łowieckiej z §. 43. ustawy łowieckiej, za zabicie psa włóczącego się.

A jeżeli już to słowo „zasądzenie“ padło i jeżeli temsamem mówić będę musiał o wydanym wyroku przez wyrokującego na podstawie „swobodnego przekonania“ sędziego — to winienem zarazem to moje świętokradztwo zaraz u wstępu tem usprawiedliwić, że ów wyrok sądowy jeszcze prawomocnym nie jest, że dalej niedawną jest obecna ustawa łowiecka, a często jeszcze „młodszą“ jest „samoistność“ sędziów wyrokujących.

Zaprzysięgły strażnik polowania, Filip Gendemann, w dobrach p. Włodzimierza Barańskiego Łukawica niżna, zabił dnia 5. października 1900 psa (sukę), należącą do administratora cerkwi, ks. Miejskiego.

Według aktów sądowych, wizyi lokalnej przedsięwziętej na miejscu, tudzież zeznań świadków, fakt sam jest następujący:

Cały szereg świadków zeznał przedewszystkiem, że suka ks. Miejskiego włóczyła się po polach. kilkakrotnie widziano ją goniącą zająca, raz nawet odebrano jej złapanego już zająca — przy tego rodzaju ekskursyach owej suki, pasało się najczęściej opodal bydło ks. Miejskiego — dla uzupełnienia tej ogólnej charakterystyki posłużyć może pokąsanie dziecka, zagryzienie komuś znowu kilku królików etc., a wreszcie zeznanie samego księdza poszkodowanego, który twierdził, że owa przedwcześnie zgasła suka była „stróżem jego domu“ (o bydle, lub o tem, aby suka była niezbędną dla towarzystwa pastucha, nie wspominał ksiądz proboszcz). Zeznał dalej poszkodowany (wbrew powyższym twierdzeniom świadków), że ów wierny stróż domu stał zwykle na łańcuchu, na parę dni przed tragicznym wypadkiem łańcuch zerwał — ale mimo to tylko domu pilnował i nigdy się nie włóczył.

Dnia 5. października 1900 jadąc drogą polną (poza obrębem wsi), zabił tę sukę strażnik polowania, Gendemann — odległość od miejsca strzału do mieszkania ks. Miejskiego, wynosiła według protokołu komisyi — 520 metrów, w linii powietrznej co najmniej 320 m., bo i tę linię sprawdzono z przezorności i na ten wypadek, gdyby owa suka latała na skrzydłach a nie chodziła po ziemi; odległość od najbliższego domu mieszkalnego włościańskiego — 47·5 metrów.

W chwili strzału miało przechodzić bliską, ale nie tą samą drogą polną bydło księdza Miejskiego na paszę i temu bydłu towarzyszył, „wierny stróż domu“. Dla uzupełnienia jeszcze i to muszę nadmienić, że przy rozprawie odczytano, a więc poinformowano sędziego o okólniku ck. starostwa w Stryju z 15. maja 1900 l. 13284, zawierającym polecenie trzymania psów na uwięzi — z uwagą, że psy wolno puszczone, będą zabite, a właściciel psa do surowej odpowiedzialności pociągnięty.

Na podstawie powyższych danych został strażnik Gendemann wyrokiem ck. sądu powiatowego w Stryju z dnia 14. grudnia 1900 zasądzony na karę pięciu dni aresztu, na zapłacenie poszkodowanemu ks. Miejskiemu tytułem kosztów rozprawy 33 koron — przyczem z resztą pretensyi, a mianowicie z żądaniem odszkodowania za zabicie suki, odesłano ks. Miejskiego do zwykłej drogi prawa cywilnego. W czynie Gendemannowi zarzuconym, dopatrzył się sędzia aż trzech czynów karygodnych, a mianowicie:

1. złośliwego uszkodzenia cudzej własności (§. 468. u. k.).

2. działania dla zdrowia i życia ludzkiego niebezpiecznego, względnie niezachowanie należytych ostrożności (§. 431. u. k.) i

3. działania względnie zaniedbania ostrożności, które niebezpieczeństwo ognia spowodować mogło (§. 459. u. k.)

W motywach wyroku twierdzi sędzia, że przepis §-fu 43-go ustawy łowieckiej, co do odległości nie mniejszej od domu mieszkalnego jak 300 metrów, obowiązuje bez względu na to, czy dom należy do właściciela psa, czy do kogo innego; nie nabrał sędzia przekonania o „włóczącej się naturze zabitej“ (przytaczam dosłownie, bo za tę polszczyznę nie biorę odpowiedzialności), twierdzi, że gdyby nawet suka się włóczyła, to nie można jej zabić w pobliżu domów i ludzi — przepis bowiem §-fu 43. ust. łowieckiej ma na celu ochronę życia i mienia ludzkiego. Dalszych wątpliwości nie miał pan sędzia i za to można mu być wdzięcznym, bo w ten sposób uchronioną została biedna ustawa łowiecka od — kto wie — zupełnego skasowania, a już co najmniej od bardzo w tym wypadku „swobodnej“ interpretacyi.

Sądzę, że powyższy okaz wyroku sądowego, sprowadzający ustawę łowiecką do rzędu instrukcyi dla straży pożarnych, negujący wprost istnienie i potrzebę policyi łowieckiej, nie liczący się z tem, że łowiectwo to ważna, a zaniedbana w naszym kraju gałęź kultury, nie wymaga w swojej ogólnej treści bliższego omówienia, nie ma bowiem dyskusyi tam, gdzie chodzi o czysto elementarne pojęcia. Miejmy przytem nadzieję, że postępująca coraz dalej i sięgająca w najdziksze ostępy kultura łowiecka, potrafi sobie wkrótce u wszystkich i wszędzie wyrobić przyznanie praw istnienia i że nawet sam szanowny autor obecnego wyroku, kiedyś po latach, ten objaw postępującej cywilizacyi z radością powita.

Zanim jednak to nastąpi, zanim wniesione już odwołanie, ów wyrok dzisiejszy odpowiednio, jak mamy nadzieję, zreformuje — rozprawić się muszę w *Łowcu* z tym wyrokiem, bo nie chciałbym, aby podobna judykatura i podobne interpretowanie ustawy łowieckiej miało wywołać u interesowanych zniechęcenie lub zapoznanie własnych, ustawą zagwarantowanych praw.

Szwankuje wyrok w mowie będący przedewszystkiem w tem, że we fakcie tym wyrokiem objętym, a zupełnie niezależnie od interpretacyi §-fu 43 ustawy łowiekiej nie ma wogóle żadnego czynu karygodnego (wedle ustawy karnej) a temsamem nie ma przekroczeń w wyroku wymienionych. Przekroczenia przeciw bezpieczeństwu ciała i życia ludzkiego (§. 431. u. k.) i przekroczenia z powodu zaniedbania ostrożności przy obchodzeniu sie z ogniem (§. 459. u, k.) należą do czynów karygodnych, w których ustawa istoty czynu nie formuluje, jak to zachodzi przy innych czynach karygodnych, ale pozostawia najzupełniej uznaniu sędziego ocenienie, czy w danym wypadku zaszło takie działanie lub zaniedbanie, które mogło wprost ludzi, lub przez niebezpieczeństwo powstania ognia mienie ludzkie na szkodę narazić. Sądzę, że przy całem uszanowaniu dla swobody przekonania sędziowskiego wogóle, w tym wypadku nie podobna zdania p. sędziego podzielić. Zaprzysięgły strażnik polowania, a więc osoba mająca według ustawy z 4 września 1892 Nr. 74 dz. u. p. posiadać odpowiednie kwalifikacye, a mianowicie także umiejętność obchodzenia się z bronią palną, strzelający na polu, w odległości choćby tylko kilku metrów od domów mieszkalnych, strzelający nadto z wózka na bliską odległość do psa stojącego na ziemi, a więc z góry w dół, używający wreszcie strzelby systemu Lancaster (bez kłaków) nie może być absolutnie posądzonym, a tem mniej zasądzonym za nieostrożność przeciw życiu, zdrowiu lub wreszcie mieniu ludzkiemu. Sędzia wyrokujący nie powinien był w tym kierunku, pominąwszy inne proceduralne braki, choćby dlatego wyrokować, że ani sam naocznie, ani z zeznań świadków o istnieniu niebezpieństwa się nie dowiedział.

Trzecim czynem karygodnym miało być przekroczenie z §. 468. u. k., popełnione przez złośliwe uszkodzenie cudzej własności.

Już z samego ustawowego określenia tego czynu karygodnego wynika, że do jego popełnienia potrzebną jest przedewszystkiem „szkoda“, a dalej potrzebną jest „złośliwość“ wyrządzonego uszkodzenia.

W pojęciu tem mającem uzasadnić uznanie kogoś winnym, mieścić się musi i poczucie naruszenia cudzych praw a przekroczenia własnych uprawnień — mieścić się musi wreszcie także zły zamiar, złośliwa (bezprawna) chęć wyrządzenia komuś szkody.

Bez tych momentów nie ma „złośliwości“ a temsamem nie ma karygodności.

Jeżeli się zważy, że według §-fu 43. ust. łow. ogólnie rzecz biorąc wolno strzelać włóczące się psy i koty, jeżeli do tej czynności obok uprawnionego do polowania, powołaną jest jego straż łowiecka — to jasnem jest, że nie może być mowy o „złośliwości“ według ustawy karnej, o złośliwem uszkodzeniu cudzej własności, jeżeli — jak w danym wypadku — kwestya sporna na tem tylko polega, czy p. sędzia, czy strażnik polowania lepiej ustawę łowiecką rozumie, a obaj do wykonywania i stosowania tej ustawy mają prawo i obowiązek.

Twierdzę zatem, że nie ma w danym wypadku żadnego czynu karygodnego, że temsamem wyrok sądu stryjskiego jest nieuzasadniony. Zestawiłem powyższe momenta prawne zupełnie krótko, bo nie tutaj miejsce na prawne wywody, a będzie na nie pora i czas gdzieindziej. Chodziło mi tylko o wyjaśnienie sytuacyi ze stanowiska prawnego, a temsamem negując stanowczo istnienie czynów karygodnych, obwinionemu strażnikowi zarzuconych, przyjść należy do wniosku, że w tym wypadku wogóle przy braku czynu karygodnego wykluczoną jest kompetencya sądu, w najgorszym bowiem razie mamy do czynienia z przekroczeniem ustawy łowieckiej przez strażnika polowania — wedle §. 73 ustawy łowieckiej, wszelkie przekroczenia tej ustawy, o ile powszechna ustawa karna nie ma zastosowania — mają być karane przez polityczną władzę powiatową.

Inną, dla ogółu zasadniczego znaczenia jest kwestya, czy w wypadku powyżej opisanym miało miejsce przekroczenie z §-fu 43. ust. łow. wogóle, a więc, czy uprawniony do polowania względnie jego strażnik poszedł za daleko w wykonaniu policyi łowieckiej.

Do odpowiedzi na to pytanie potrzeba ustalić, czy zabita suka była „włóczącą się“, a dalej, czy zachowano ostrożność co do odległości 300 metrów od domu mieszkalnego, jak tego ustawa wymaga.

Odpowiedź na pierwsze pytanie mogłaby nasuwać pewne wątpliwości, gdyby nie to, że owa doraźnie zasądzona suka, wedle zeznań ogółu świadków była nałogową „włóczęgą“, schwytaną już kilkakrotnie na gorącym uczynku, że egzekucya odbyła się rzeczywiście na polu, poza obrębem wsi, jakkolwiek blisko domów, że dalej ck. starostwo w Stryju wydało kategoryczny nakaz trzymania psów na uwięzi pod rygorem ich ubicia, że w końcu właściciela zabitej suki nie było w pobliżu, a pies jest i ma być stróżem domu a nie bydła (z wyjątkiem chyba psów owczarskich). Wogóle pojęcie „włóczącego się“ psa jest rzeczywiście nieco elastyczne, jeżeli się jednak zważy, że ustawa dlatego pozwala na zabijanie takich psów, bo one niezmierne szkody gospodarstwu łowieckiemu wyrządzają i jeżeli ta właśnie szkodliwość psa powodować ma jego zabicie — to z logiczną koniecznością przyjść należy do wniosku, że zabicie psa na polu jest zupełnie uzasadnione, choćby on w danej chwili nie wykonywał owej funkcyi „włóczenia się“, jeżeli tylko jest pewnem i stwierdzonem, że odnośne indywidyum psie jest zresztą i zawsze nałogowym włóczęgą, dla łowiectwa w wysokim stopniu szkodliwym. Taki pies, a wogóle każdy pies spotkany na polu (nie na drodze) czy w lesie, może być zabity, jeżeli nie ma przy nim właściciela, albo jeżeli nie jest prowadzony na sznurku, łańcuchu, czy w inny sposób przytrzymany.

Drugą a najważniejszą w tym wypadku jest kwestya oddalenia od domu mieszkalnego.

Ustawa mówi, że psy etc. zabijać wolno, lecz nie w bliższem oddaleniu, jak na 300 metrów od domu mieszkalnego.

Że pod domem mieszkalnym ma być rozumiany dom mieszkalny właściciela, to wydaje się niewątpliwem. Przedewszystkiem mówi ustawa o domu mieszkalnym a nie o domach, mówi o tym pewnym, oznaczonym, jednym domu, którym może być tylko dom właściciela psa, a nie wszystkie domy mieszkalne w całej odnośnej miejscowości, czy też i wogóle. O domu mieszkalnym mowa w ustawie, a to dlatego, bo przeznaczeniem psa strzedz domu mieszkalnego, domu swego pana — usprawiedliwia ustawa oddalenie się psa od swego pana i jego domu na mniej niż 300 metrów, ale uważa za włóczęgostwo wszelkie wycieczki dalsze, niezależnie od tego, czy taka wycieczka poprowadzi psa wprost z domu więcej niż 300 metrów w pole, jeżeli dom leży na kraju odnośnej miejscowości, czy też pies przejdzie 200 metrów pomiędzy domami, a w dalszym ciągu pójdzie 150 metrów lub więcej w pole.

Inne pojmowanie ustawy byłoby nieuzasadnione prowadziłoby wprost do niekonsekwencyi. Przypuśćmy, że dwie miejscowości leżą od siebie o 1000 metrów, z jednej miejscowości z domu swego pana, leżącego na skraju, wyszedł pies w pole — do 300 metrów oddalenia jest bezkarny, od tej cyfry zaczyna się niebezpieczna dla psa strefa, bo może być zabity, gdy odejdzie 400, 500, 600 metrów, ale uszedłszy 700 metrów wchodziłby w promień ochronny sąsiedniej miejscowości, uszedłszy 750 metrów i t. d. od domu swego pana, już nie mógłby być zabity? Dlatego że zbliżył się do sąsiedniej miejscowości, a tem bardziej oddalił się od domu swego pana? Mnie się zdaje, że tem bardziej pies się „włóczy“, im częściej i dalej odchodzi, a nie przeciwnie.

Pies jest zwierzęciem domowem dlatego, bo daje się przywiązać do osoby i domu swego właściciela, w pojęciu „domowości“ leży koniecznie przynależność czy przywiązanie do jednego domu i jednej osoby, względnie kilku osób razem odnośny dom zamieszkujących — gdyby było inaczej, gdyby psy, konie, krowy etc. żyły między domami ale nie miały właścicieli ani do nikogo wyłącznie nie należały, nie byłyby zwierzętami domowemi w zwykłem tego słowa znaczeniu. Mamy przecie myszy „domowe“ w przeciwstawieniu do polnych, leśnych etc., mamy kuny „domowe“ etc., a przecie to nie są zwierzęta domowe, tylko zwierzęta dzikie.

To też i pies byłby wprost dzikiem zwierzęciem, gdyby nie miał pana i domu i nie potrzebaby specyalnego pozwolenia na psie polowanie, a pozwolenie to według §-fu 43. ust. łow. przysługuje uprawnionemu wówczas, gdy pies zrywa ze swojem przeznaczeniem, ze swoją ścisłą przynależnością do domu swego pana, gdy od tego właśnie domu na odległość przenoszącą 300 metrów się oddala.

Z tego też względu uważam zabicie psa na 500 me-

trów odległości od domu mieszkalnego pana, chociaż na niespełna 50 metrów od innych domów za legalne i w ustawie uzasadnione.

Wypadek powyższy na temat odległości jest klasycznym, a zdaje mi się pierwszym w kraju, oddanym sądowi do rozstrzygnięcia — ciekawem jest bardzo, jak tę kwestyę rozstrzygnie wyższa instancya, a temsamem, jak zostanie interpretowanym przepis §-fu 43. ust. łow. co do odległości „od domu mieszkalnego“. Kodyfikacyi ustawy łowieckiej można zrobić niejeden zarzut i w tym wypadku należało może po słowach „domu mieszkalnego“ dodać „właściciela“. Mimo to jednak niepodobna i bez tego wyrazu rozumieć odmiennie ustawy łowieckiej, bo toby było z jej celem i duchem niezgodne.

W końcu przeprosić mi wypada Szanownych Czytelników *Łowca* za to, że ich tak długo przy jednym fakcie zatrzymałem, a Szanownej Redakcyi tyle miejsca zająłem, sądzę jednak, że wypadek powyżej opisany może się bardzo łatwo gdzie indziej w podobnej formie powtórzyć, że zatem interpretacya §-fu 43 ustawy łowieckiej jeszcze nieraz dyskusyę wywoła.

Dr. Władysław Sołowij.

TĘSKNOTA DO GÓR.

Widzę z mych okien Maruszki garb
I ciemnych gór szeregi
Jak pod przeźroczem błękitnych farb
Różowe lśnią ich śniegi!

Widzę co ranka przed wschodem zórz
Jak tęczą roztopioną,
Jutrzenka maluje szczyty wzgórz
Nim blaski je owioną.

A gdy wieczorem w sinawą dal
Złocista kula się kryje,
Rubinów blaskiem świetlanych fal,
Ostatnie słońce je myje!

Na widok gór słodko dusza śni,
I czuję serca drganie,
Wśród martwych trumien zwalonych pni,
Ogarów słyszę granie! . . . .

Więc gdy zobaczę śnieżny wał,
I Karpat dumne czoło,
Ostatki życia radbym dał,
Porzucił moje sioło!!

I biegłbym, gdzie Maruszki szczyt,
Opalu blaskiem płonie,
I szukałbym rozkoszy syt,
Już śmierci w śnieżnem łonie!

I tam, gdzie zmarłe orły spią,
Gdzie szczyty sterczą dumnie,
Tam, gdzie granity nagie lśnią,
W śnieżystej ległbym trumnie!

Albert Mniszek.

Korespondencye.

Kraków, 12. stycznia 1901.

W dniu 8 bm. odbyło się w Tomicach, własności p. Aleksandra br. Gostkowskiego, polowanie w 7 strzelb, na którem padło 24 zajęcy.

Rezultat w porównaniu z rokiem zeszłym i latami poprzednimi śmiesznie mały. W inne lata padało od 70 do 100 zajęcy. W dniu 3 bm. w Niedźwiedziu (Król. Polskie), własność Antoniego hr. Wodzickiego, odbyło się polowanie, na którem padło 52 zajęcy, 2 lisy i 1 kozioł, (który nb. sam się zabił).

Inkas.

Dnia 13. i 14. stycznia odbyło się polowanie w Wiszence pow. Grodeckiego, w majątku p. Franciszka Stanka.

Pomimo notorycznie znanego braku w tym roku zajęcy, nieprzyjaznej aury, a w końcu dystrakcyi, jaką zrobiło drużynie myśliwskiej pojawienie się w miotach dzików — wynik polowania był względnie bardzo pomyślny, gdyż na rozkładzie znalazło się 4 dziki, 7 rogaczy, 1 koza, (zabiła się sama), 5 lisów, 29 zajęcy i 1 jarząbek. Polowano w 10 strzelb. Przy końcu polowania zdarzył się ciekawy epizod, którego opisania pominąć nie mogę. Oto gdy drużyna myśliwych wracała z lasu, dwie par sań zostało z tyłu, i jadący na tychże myśliwi spostrzegają pomykającego polem dzika, jedne z sań zajeżdżają mu drogę, i pomimo zmroku dzik pada od celnych strzałów znajdującego się na tych saniach gospodarza i jego towarzysza. Epizod ten oddziałał bardzo korzystnie na humor myśliwych, a serdeczna gościnność gospodarstwa zdziałała, że każdy z uczestników tych łowów wyjechał zadowolony, żałując, że ta biesiada łowiecka tak krótko trwała.

M. E.

Hadle, 18. stycznia 1901.

Według przyjętego w zachodniej Galicyi zwyczaju, odbywają się z początkiem każdego roku t. z. gody. Nie myśl, szanowny czytelniku, że to są gody z muzyką, winem i tańcami, jestto targ na sługi, wyrywanie ich sobie nawzajem przez sąsiadów, zmawianie przez agentów emigracyjnych, słowem handel żywym towarem posunięty do niemożliwych granic. Zostawiwszy więc te gody swemu sztabowi służbowemu, wymknąłem się w noc noworoczną na lepsze, bo na śliczne polowanie w Husiatyńskie, do p. Bronisława Łastowieckiego, na 3 i 4 stycznia.

Pierwszy dzień łowów mimo bardzo ładnego stanu zwierzyny, dał się nam dobrze we znaki. Przewidziana przez Falba śnieżyca przy 14 stopniowym mrozie nie dozwoliła trzymać się programu, tak że parę miotów zostawiliśmy na 5. stycznia.

Dzień następny jakkolwiek mroźny, bo termometr pokazywał wieczorem 23 stopni C., cichy jednak i słoneczny, był wymarzonym do łyżwowania, sankowania i t. p. sportów, myśliwym jednak skostniałe palce odmawiały czasem posłuszeństwa, czego wynikiem było, że z 8-miu strzelanych rogaczy tylko jeden był na rozkładzie. Ogółem przez owe $2^1/_2$ dnia padło 183 zajęcy, rogacz i lis. Ostatni padł z broni podpisanego na jeden strzał z zającem, któreto

zdarzenie jeden tylko niestety sąsiad myśliwy zaświadczyć może w potrzebie. W chwili, gdym się składał do wychodzącego z gęstego miotu małym galopkiem zająca, wypadł na linię wielce przestraszony lis, gdyż pogonka nie była dalej niż o 50 kroków i w dwóch susach dopędza zająca. Nie mogąc już wstrzymać strzału do zająca palę prawie równocześnie z drugiej lufy w tosamo miejsce, a ochłonąwszy po silnem wstrząśnieniu, widzę z radością lisa i zająca leżących w martwych objęciach na linii.

Podziękowawszy gospodarzowi za śliczną biesiadę myśliwską podążyłem na Mazury, gdzie w puszczy Sandomierskiej czekały mnie trzy dni bardzo dobrego polowania. 10. i 11. stycznia u p. Adama Kozłowieckiego w Hucie Komorowskiej, w 12 strzelb zabito 110 zajęcy, 13 rogaczy, 3 lisy i jelenia czternastaka. Lasy niedawno jeszcze prawie puste dzięki racyonalnej gospodarce roją się formalnie od wszelkiego rodzaju zwierza, bo oprócz na rozkładzie reprezentowanej zwierzyny znajduje się tam licznie dzik a z ptactwa głuszec, cietrzew i jarząbek.

Dziki mimo, że były w paru miotach nie wyszły na strzał, cietrzewie zaś mimo licznych strzałów wykpiły się głównie dlatego, że każdy bojąc się zabić kury, zanim się złożył, robił rozpoznanie, a wiadomo jak cietrzew szybko przed pogonką leci. Muszę tu usprawiedliwić zabicie jelenia w czasie, w którym ustawa broni go przed myśliwym. W gęstym 30-to letnim zapuście sosnowym pogonka natrafiła na byka i łanię, przyczem pierwszy tak niefortunnie uskoczył w bok, że złamał 5-cio calową sosnę. Przypuszczając, że tego rodzaju delikatne usunięcie się przed ludźmi nie pozostanie bez szkodliwego skutku na organizm zwierza, prosił gospodarz, żeby go zastrzelić, gdyby się zatrzymał w następnym miocie. Co też p. T. uczynił, trafiwszy go na dość znaczną odległość kulą z ekspresa w komorę. Wspaniały widok pędzącego po strzale jelenia z ogromnym wieńcem przez czysty zrąb, wszystkich oczy odwrócił w tę stronę, z czego korzystając zajączki licznie wymykały się popod nogi myśliwym. Po skończonym miocie podeszliśmy do jelenia, który położywszy się o 1000 kroków od miescaj strzału na zrębie już więcej nie wstał. W jednym z następnych miotów było jeszcze 4—6 sztuk jeleni, które naturalnie niestrzelane poszły sobie spokojnie w dalsze knieje.

Trzeci dzień t. j. 12. stycznia spędziłem w znanych ze ślicznego stanu zwierzyny lasach Bojanowskich na wzorowo prowadzonym polowaniu u p. Władysława Komorowskiego. Przed tygodniem polowano tam w innym rewirze, gdzie padło około 90 sztuk, o czem jednak nie piszę, gdyż w tem polowaniu udziału nie brałem. W dniu 12. stycznia w rewirze Świerczek i Korabina w 10 strzelb zabiliśmy 92 zajęcy, 3 rogacze i 2 bażanty.

Piotr Lastowiecki.

Dnia 10 i 11. stycznia odbyło się polowanie w dobrach Podhajczyki Justynowe, własności hr. Koziebrodzkich, w 12 strzelb. Pierwszego dnia ubito 3 rogacze, 1 lisa i 87 zajęcy. Drugiego dnia 1 rogacza, 1 lisa i 78 zajęcy.

W październiku ubito w tych samych rewirach 7 rogaczy i 28 lisów.

Stała ochrona zwierzyny, podawanie karmy, jakoteż racyonalne i wzorowo prowadzone polowanie, jest powodem, że i przy tegorocznym, o wiele słabszym stanie zajęcy, powyższy rezultat się dał osiągnąć.

O. Baborski.

Ossowce, dnia 24. stycznia 1901.

Dnia 21 i 22. stycznia odbyło się polowanie w Porchowie u pana Artura Zaremby Cieleckiego — myśliwych było 12. Wynik polowania był zupełnie wyjątkowy — zabito 130 zajęcy, 20 rogaczy, 2 lisy i 5 dzików. Stan sarn zupełnie imponujący, nie było miotu bez strzału do rogacza, dużo ich uszło swobodnie. Pogoda nam dopisała i mimo okiści nagonka chodziła wzorowo. Ponieważ polowaliśmy głównie na zające i sarny, dziki były tylko miłym dodatkiem, padło ich tylko pięć. Gdybyśmy byli polowali specyalnie na dziki, byłoby ich padło przy dobrem naturalnie strzelaniu dwa lub trzy razy tyle. Knieja w Porchowie należy bez wątpienia do najlepszych w okolicy, tak pod względem ilości zwierzyny jak jej rozmaitości. Polowanie całkiem nie męczące, z wszelką wygodą urządzone, linie w lesie szerokie i jasne, wyjeżdżaliśmy późno z domu, gdyż las za ogrodem, za dnia byliśmy z powrotem. Nic wspominam tu już o staropolskiej gościnności, gdyż to piękne określenie naszej domowej cnoty trochę za często bywa powtarzane w korespondencyach łowieckich.

Chwile emocyi i gorączki myśliwskiej spędzone w kniei i chwile swobodnej pogadanki spędzone w pałacyku w Porchowie na długo zostaną w pamięci uczestników tego pięknego polowania.

Aleksander hr. Potocki.

W dniach 24, 25 i 26. polowaliśmy w Horodnicy i Deryłozach w 12 strzelb. Ostatniego dnia polowanie trwało krótko, gdyż w Deryłozach było do wzięcia tylko kilka miotów położonych wśród pól, były one za to bardzo ożywione i zabawne. Nim zdołano naboje do luf włożyć na początku miotu, przemykały przez linię sarny i zające, lub też wpadały z zapleców do miotu, który pędzono.

Przy dochodzeniu nagonki była taka kanonada, że nie wiedziało się, w którą stronę oczu zwracać, to też wiele zwierzyny przeszło bez strzału. Jeden z myśliwych zabił na tem samem stanowisku 14 zajęcy. Już po pierwszym miocie powstał wielki ruch a mianowicie posyłanie po naboje, bo z towarzyszy kilku wystrzelało prawie wszystkie a inni znów obawiali się, że mają ich za mało. Prócz sarn, które zostały w miocie, widziałem kilka razy, jak całe rudle wynosiły się w pole, nim zaszła nagonka.

Ważnym czynnikiem dobrego powodzenia naszych łowów było umiejętne i świetne prowadzenie polowania przez pana Stanisława Jabłonowskiego, który trudząc się cały czas sam, rozstawiwszy swych gości na stanowiskach, stawał na flankach. Kilkumiotowe polowanie w Deryłozach dało rezultat 191 zajęcy, 11 rogaczy, 1 lisa. Ogółem ubito 316 zajęcy, 27 rogaczy, 4 lisy, 1 dzika. Pięknego zaś odyńca znaleziono w miocie, zapewne postrzelony przyszedł do Horodnicy, aby życie zakończyć.

J. C.

Jabłonów, 30. stycznia 1901.

Knieja tutejsza ma ustaloną reputacyę, to też i w tym roku zawodu nie przyniosła. Po trzechdniowych łowach zabito 10 dzików, 62 rogaczy, 12 lisów, 155 zajęcy.

W wielu miotach strzelano tylko do dzików a inną zwierzynę puszczano. Do drużyny myśliwskiej należały i reprezentantki płci pięknej, które zastosowywały się wzorowo do trudów i przepisów myśliwskich. Nic też dziwnego, że wieczorem po tak pięknych łowach bardzo ożywione nastąpiły opowiadania, już to o jakimś niezwykłem wypadku, jaki właśnie wydarzył się myśliwemu, gdy dziki na niego wyszły, o bezdymnym prochu, który tyle luf rozerwał, o kulach nowo wynalezionych, lub też dyskusya, do kogo właściwie ów dzik lub rogacz należy, gdyż obaj myśliwi do niego strzelali, dopiero nastawała ogólna cisza, gdy usłyszano w sąsiednim pokoju początkowe melodyjne akordy; muzykalni i niemuzykalni otaczali fortepian, aby usłyszeć prawdziwie piękną muzykę, oddaną przez pannę H. S. z niezwykłym artyzmem i uczuciem.

J. C.

Kamienna 27. stycznia 1901.

Spełniając obowiązek delegata, donoszę o wyniku z kilku polowań w okolicy. Resztę doniosę za dni kilka po końcu sezonu polowaniowego.

W dniach 16. i 17. bm., odbyło się polowanie w Majdanie górnym u pp. Kirchmayerów. Strzelb było 14, a na rozkładzie 8 rogaczy, 5 lisów i 26 zajęcy. Wynik to skromny, lecz uwzględniając zupełnie niesprzyjającą porę, trzeba się nim zadowolnić. Okiść w szpilkowym lesie, to nieprzyjaciel myśliwego, bo i nagonka nie może wyprzeć zwierzyny na linię strzelców, a rogacza trudno poznać dla braku miejsca.

W dniach 24. i 25. polowano w rewirach skarbu nadwórniańskiego, należących do Delatyna, w dniu zaś 26. w rewirze należącym do zarządu nadwórniańskiego, „Bukowinka" zwanym. W rewirach tych doroczne polowanie urządzają.

Pierwszego z wyżej wspomnianych dni brano rewir Olchowice, powierzchni około 200 hektarów mierzący. Myśliwych było 16 a na rozkładzie można było widzieć 1 wycinka, 12 rogaczy, 5 lisów i 13 zajęcy. Odyniec duży uszedł niefortunnie strzelany. Strzałów padło 60. Od sarn w każdym miocie roiło się. Miało się formalnie wrażenie, że jest się w zwierzyńcu.

P. zarządca Lipiński, myśliwy do ostatniej kropli krwi, iście po mistrzowsku aranżował w obu swoich rewirach.

W drugim dniu polowania w rewirze „Brzezina" urządził drużynie myśliwskiej nader przyjemną niespodziankę, gdyż w swej skromności zapowiedział wynik o połowę mniejszy niż rozkład wieczorny okazał. Leżało 10 rogaczy, 3 lisy, 15 zajęcy, 1 jarząbek i sowa uralska. Strzałów padło 70. Nie brakowało w tym rewirze i grubej zwierzyny. Był olbrzymi odyniec, który nie chcąc się zdybać z myśliwym, uszedł na bok poprzed samą nagonką, tak że chłopcy siekierami nań rzucali. Sarn było mnóstwo, jak w dniu poprzednim, to też mając w czem wybrać, do małych rogaczy nie strzelano. Rewir Brzezina również nie duży, co do obszaru mierzy 230 hektarów. W obu rewirach mających 430 hektarów imponuje najbardziej nader liczny stan sarn. Zasługa to zarządcy wyżej wspomnianego. To też cała drużyna myśliwska złożyła mu nietylko serdeczne podziękowanie za wielką przyjemność, ale i pełne uznanie jego zasłudze, bo widać pracę jego na każdym kroku, poznać w nim myśliwego, który umie nietylko artystycznie urządzać polowanie ale i chodować i strzedz zwierzynę.

Dnia 26. bm. w rewirze „Bukowinka" zaledwie 200 hektarów przenoszącym, urządzał polowanie p. Maksymilian Szyszkowski, zarządca tego rewiru, z niemniejszą przyjemnością dla myśliwych.

Rezultat tego dnia wykazał rozkład. Było tam: 6 rogaczy, 4 lisy, 63 zające i 2 sowy. Strzelono 188 razy. Tu imponowała ilość zajęcy, których padłoby było znacznie więcej, gdyby nie to, że polowanie odbyło się w przeddzień śniegu i odwilży i zając nie chciał ruszać a tem mniej wychodzić na linię. Strzałów stosunkowo więcej padło z tej przyczyny, że zapusty tam gęste a tem samem strzelanie o wiele trudniejsze.

Ogólny rezultat z tych trzech polowań w górach, w obszarze 600 hektarów mało przenoszących, jest 91 zajęcy, 28 rogaczy, 13 lisów i 1 dzik, oraz 1 jarząbek i 3 sowy. Razem sztuk 137 na 318 strzałów.

Wynik to nie lada a przypisać go należy, jak to już wspomniałem, staraniu obu pp. zarządców. Mają oni nielada trudności do zwalczania. Rewiry, położone między gminnymi lasami, mają wielkie straty w zwierzynie od kłusowników, a na dowód tego przytoczę, iż ubiłem rogacza z drutem na szyi. Biedak był już w sidłach, lecz w jakiś szczęśliwy sposób wyrwał się.

Jako stary myśliwy kończę moje sprawozdanie powtórnem podziękowaniem w imieniu wszystkich gości, za prawdziwą przyjemność wyrządzoną nam przez obu pp. zarządców, których stawiam jako godny do naśladowania wzór. Gdyby się wszyscy zapatrywali na nich, nie potrzebowalibyśmy zazdrościć zagranicy,

G. Głuchowski.

Brody, w lutym 1901.

Polowanie w Weryni u hr. Janusza Tyszkiewicza odbyło się 22. 23 i 24 stycznia po czarnej stopie. Tej zimy śniegu tam zupełnie nie było, podczas polowania mieliśmy ogromny wicher z deszczem, trzeba dodać, że na zaproszonych 14-tu towarzyszy przyjechało siedmiu i zamiast dwiestu nagonki, mieliśmy ośmdziesięciu, bo nie wychodziła. Straży leśnej prawie była połowa, wprawdzie świetnie chodziła, ale dwa dni z pojedynczą nagonką polowano i naturalnie połowy miotów nie brano.

Strzelano naszym zwykłym prochem, bo każdy z towarzyszów już wypróbował bezdymny proch, i przyszedł do przekonania, że jeszcze ładunki z ck. fabryki nie zabijają i każdy czeka, że będą lepsze z czasem. Zabito 5 rogaczy, 11 lisów, 202 zajęcy, 2 jastrzębie i zdaje się jarząbka, alem go nie widział.

Pierwszy dzień rewir Kłopówka, dawniej, zawsze świetny — 50 kilka zajęcy — nie dalej jak w roku zeszłym trzy razy tyle padło, teraz czy je wicher z lasu na pole powypędzał, czy mało nagonki, dość, że nie było tyle, a może i brak strzelców był powodem. Tam jednego dnia biorą zawsze 16 miotów. Drugi dzień był lepszy, szczególnie drukier na kulturach trzyletnich był śliczny. Niektórzy po kilkanaście razy strzelali, i widok był ładny, był i lis zmknięty, i co nie wyrabiał, aż po kilku strzałach padł; tutaj każdy strzelał. Trzeci dzień był najładniejszy, pierwszy był kociołek, ale po błocie wyżej kostek, drugi musiano już brać drukier, bardzo dużo zajęcy poszło na nagonkę, po piętnaście jednem miejscem wykpiwało się.

Trzeci miot był park — 96 strzałów padło, i tu śmiało można powiedzieć, że stan zwierzyny powiększył się. Chybiano ogromnie, bo padło tylko 28 zajęcy, sarn z kilkanaście przebiło się przez nagonkę, drugiej połowy parku nie brano, a tam ich bardzo dużo musiało być. Na wiosnę 1900 r. puszczono tu 30 czeskich zajęczyc i kilka samców. Gospodarz zaoszczędził i dobrze zrobił, bo więcej na rok przyszły zostanie. Potem jeszcze brano dwa drukiery, ogromna ilość zajęcy poszła na nagonkę, ale zawsze do syć na strzelców, tylko że ich mało było — ośmiu towarzyszy, a liczono na 14-tu. Szczególnie to się w polu widziało. Przy obiedzie piliśmy zdrowie króla polowania, p. Władysława Komorowskiego, gospodarstwa i pań, które z nami bywały na polowaniu, a przy śniadaniu nas karmiły — i ja tam byłem i krupnik...

Z Mazurów wyjechałem 25. stycznia do Tarnopola, cóż za zmiana dekoracyi! Tu śniegiem pokryte pola, w lesie po kolana, ponowa, saniami śliczna jazda na polowanie, i choć to będzie podane do *Łowca* przez innego, ale nie mogę wytrzymać, żeby nie powiedzieć, że jak żyję tyle sarn razem nie widziałem, co w Zagrobli u Ordynata Czarkowskiego; nie przesadzę, gdy powiem, że po sześćdziesiąt w tabunach; padło w trzy dni 31 rogaczy, ale to kropla w morzu. 29. stycznia przyjechałem do Komarna, do p. T. Horodyskiego na ostatki, zapolowaliśmy w pięć strzelb, mało nagonki i niespodziewanie polowanie dobrze się udało: 3 rogacze, 3 lisy, 23 zajęcy i jarząbek prawdziwy, samczyk. Ja niżej podpisany byłem królem polowania. Zabiłem jarząbka, lisa i 7 zajęcy. Ślepej kurze ziarnko! Dziki w wilię polowania wyszły — ale przyjdą...

M. Tyszkiewicz.

Lwów, 1. lutego 1901.

Porównując zeszłoroczne sprawozdania z polowań z wiadomościami, jakie „Łowiec“ przynosi i z tem, co się o polowaniach tegorocznych słyszy, widoczny jest w tym roku ogromny postęp i chyba dawno już nie odniosła wierna drużyna Św. Huberta tylu i tak różnorodnych wrażeń, jak tej jesieni i zimy.

Po niebywale obfitym i długotrwałym ciągu słonek, a stąd cudownych jesiennych polowaniach, po nieudałym dla myśliwych, bo ciepłym i słotnym grudniu, od dawna po raz pierwszy mieliśmy przez większą połowę stycznia prawdziwą zimę, stąd też sprawozdania z polowań w styczniu, są — zwłaszcza we wschodniej części kraju — oprócz może tu i ówdzie mniejszej ilości zajęcy, wręcz imponujące cyframi.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że pomyślne lub niepomyślne powietrze wpływa niesłychanie na udanie się polowania, ale też i przy dobrem powietrzu niepodobna czegoś zabić tam, gdzie knieja pusta.

Mieliśmy lepszą w tym roku zimę — to prawda, ale obok tego i przedewszystkiem z dumą skonstatować można, że prawidłowa gospodarka łowiecka coraz szersze zatacza kręgi, a z nią razem coraz bardziej zaludniają się puste dotąd knieje.

Ale nie o nowych zdobyczach kultury łowieckiej, nie o „nawróconych“ chcę pisać — bo mam dziś przesłać sprawozdanie z polowania w Starzyskach, u p. Aleksandra Weissmanna-Zawidowskiego, a więc mówić mam o kniei znanej oddawna szerokiemu gronu myśliwych, sławnej równie ilością i różnorodnością zwierzyny, jak wzorową ochroną i znakomitem prowadzeniem polowania w trudnych warunkach.

Polowaliśmy w tym roku w Starzyskach dwa dni: 25 i 26. stycznia w 12 i 10 strzelb, na białej jeszcze stopie, choć niestety już przy odwilży, co tam zwłaszcza zawsze wpływa ujemnie na rezultat, bo sarny i zające zbierające się gromadnie przy silnym mrozie w pobliże obficie zaopatrzonych tryzubów — przy pierwszej odwilży rozchodzą się po całej, przeszło 7000 morgów obejmującej przestrzeni i przenoszą korzonki, młode pędy i zeschłe stare trawy nad suchą, zdrową karmę z tryzubów.

Mimoto rezultat dwudniowego polowania był prześliczny, padło bowiem: 4 dziki, 22 rogacze, 5 lisów i 33 zajęcy.

Ani kochany gospodarz, ani odwilż, ani wreszcie Starzyska temu nie winne, że np. drugiego dnia oprócz 14-tu rogaczy zabitych, naliczyliśmy po ścisłym obrachunku przy obiedzie, a przy pomocy sąsiedzkiej prawdomowności jedenaście w jednym dniu spudłowanych rogaczy — a ile uszło niepoznanych, ile wymknęło się skrzydłami, tego naturalnie zliczyć niepodobna, można mieć jednak stąd miarę o wspaniałym stanie zwierzyny w Starzyskach. Polowanie to, to istna biesiada myśliwska, z której wraca się z głową pełną wrażeń i po której długo, długo pielęgnują się wspomnienia.

Obok ślicznego, rojącego się zwierzyną lasu, imponuje rygor i ład w prowadzeniu polowania, a przytem wszystkiem w lesie i w domu rozgrzewa i chwyta za serce, szczera, niewymuszona gościnność kochanego Gospodarza — więc wesoło i z bijącem sercem jedzie się do Starzysk — niesporo z nich wyjeżdżać.

W końcu wspomnieć muszę, że lisy w Starzyskach dotknięte są w tym roku jakąś chorobą, znajdowano już w jesieni nieżywe lisy, co wyklucza przypuszczenie otrucia, w czasie polowania wyniosła nagonka i teraz z miotu nieżywego lisa, na którym nie było śladu uszkodzenia zewnętrznego.

W. S.

Berezowica, 2. lutego 1901 r.

29. stycznia 1901 r. odbyło się polowanie u hr. Juljusza Korytowskiego w Petlikowcach, w 7 strzelb — zabito 7 rogaczy, 4 lisy i 140 zajęcy.

Mniejszy to o połowę rezultat niż w roku przeszłym, bo wiosna nie sprzyjała rozmnoży zajęcy, wszystkie marczaki wyginęły.

Polowania w państwie Płotyckim, u tegoż właściciela, gorzej jeszcze wypadły, bo tu bagnista dolina Seretu powoduje motylicę i pomimo największej staranności właściciela, stan zajęcy nie podnosi się.

W ogóle południowe Podole ma szczęśliwszy klimat niż północne.

Wiosna tam łagodniejsza i o kilkanaście dni wcześniej ociepla się.

Zły — zimny marzec i kwiecień, fatalnie wpływa na nasze ozime zasiewy i te same przyczyny źle wpływają na rozmnożę zajęcy.

Stan sarn wszędzie podnosi się.

Wiele lisów mamy tego roku, a że myszy z wiosny wyginęły, więc lisy tem zawzięciej niszczyły i niszczą kuropatwy i zające.

W państwie Płotyckiem kłusowników prawie nie

ma, sideł, jak w Petlikowcach, włościanie nie stawiają, a przecież nie można zwiększyć stanu zajęcy.

Myśliwy pragnie zdybać się z grubszem zwierzem, dzik, sarna, a nawet lis, to marzenie łowca; a przecież nasz poczciwy zając, ten figlarz wesoły a niemądry, to podstawa polowania.

Mieczysław Konopacki.

Kamienna, 4. lutego 1901.

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, donoszę o dalszych wynikach polowań.

Na 16 polowaniach dzierżawionych przez Towarzystwo Łowieckie Nadwórniańskie w 6 rewirach ubito w tym sezonie: 1 warchlaka, 16 lisów, 4 rogacze, 244 zajęcy, 3 słonki i 27 kuropatw.

Rezultat bardzo skromny, jednak trzeba uwzględnić tę okoliczność tem, że poprzednio niszczono zwierzynę bez litości i dopiero Towarzystwo wzięło ją w opiekę i da Bóg, że następny rok poszczyci się poważniejszą cyfrą, tem bardziej, iż regulamin pozwala tylko na jedno polowanie gremialne w każdym rewirze, prócz szkodliwej zwierzyny, a członkom pojedynczo tylko na ptactwo wolno polować więcej razy. 28-go stycznia byłem na polowaniu w Delatyńskiem w rewirze „Strahiwczyk“, gdzie padło 11 rogaczy, między tymi okazy olbrzymie, które tylko w górach spotkać można; ponieważ to rewir gorzysty dla braku myśliwych trudno było stanowiska obstawić i sarny uchodziły bez strzału, inaczej byłoby conajmniej dwa razy tyle padło rogaczy. Znów muszę wyrazić uznanie p. Lipińskiemu i p. Burzyńskiemu, którzy nietylko, jak już raz wspomniałem, po ojcowsku się obchodzą ze zwierzyną, ale i z artyzmem umieją urządzać polowania, daj Boże takich więcej. 30. stycznia odbyło się polowanie w Kłubowcach włas. Oskara hr. Potockiego; ubito w 16 strzelb: 16 rogaczy, 2 lisy, 47 zajęcy. Rogaczy było można znacznie więcej ubić, ale dla śnieżnego dnia zajęcy nie można było wyruszyć z miejsca, nagonka głośno szła, z tego powodu rogacze jużto wracały, jużto z sąsiednich miotów się wynosiły. Zające wychodziły dopiero przed samą nagonką, dlatego taka mała ilość na rozkładzie. Polowanie urządza i opiekuje się zwierzyną p. Ajdukiewicz, który doprowadził knieję Kłubowiecką do tak świetnego stanu, że na polowanie do Kłubowiec każdy myśliwy jak na gody spieszy. Prócz tego odbyły się dwa polowania 18. i 25. stycznia w kniei Bortnickiej, skarbu Tłumackiego, gdzie padło 6 dzików, 10 rogaczy, 3 lisy i 78 zajęcy, 26. stycznia zaś w rewirze Nadorożna, gdzie do zajęcy nie strzelano. Padło 5 rogaczy i 4 lisy. Jakkolwiek na ostatnich trzech polowaniach nie mogłem być uczestnikiem, to donoszę o tem, wiedząc od syna o ich wyniku.

G. Głuchowski.

Z powodu braku miejsca musimy liczne korespondencye i sprawozdania łowieckie odłożyć do następnego numeru, czego szanowni nasi korespondenci raczą nam nie brać za złe.

Kronika.

Nasza ilustracya. Dzięki uprzejmości p. Józefa Skarbka Borowskiego, właściciela największego zbioru akwarel i szkiców nieodżałowanego mistrza, Juliusza Kossaka, i autora bardzo zajmującej o nim broszury, możemy naszym czytelnikom podać reprodukcyę jednej z jego pierwszych prac, przedstawiającej polowanie z chartami w Jarczowcach. Rzecz malowana w r. 1844, kiedy Kossak liczył lat dwadzieścia, a więc kiedy zaledwie rozpoczynał swą artystyczną karyerę, tłumaczy jednak żywe zajęcie się rozwijającym się talentem ze strony takich ludzi, jak Juliusz Dzieduszycki, Leon Rzewuski, Władysław Rozwadowski. Środek obrazku zajmuje hr. Władysław Dzieduszycki, ojciec hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, a brat hr. Juliusza, na prawo od niego umieszczonego. Na pierwszym planie, z lewej strony mamy portret samego artysty, po prawej stronie wizerunek hr. Kazimierza Dzieduszyckiego.

Sprawozdanie oryginalne z targu zwierzyny,

Józefa Schmerla Grafa z Wiednia III. Grossmarkthalle.

Wiedeń, 11. lutego 1901.

Łagodna temperatura, ogromne dowozy brudnych, mokrych zajęcy z Węgier, ogromne zapasy jeleni i łań, wielkie dowozy sarn z Galicyi, wreszcie odwołanie balów dworskich do 13 bm. przyczyniały się do niebywałej w lutym zniżki cen tak zajęcy jakoteż sarn, w ogóle wszelkiej zwierzyny.

Zniżka pojawia się rok rocznie po Trzech Królach i trwa do końca stycznia, względnie do 3 lutego tj. do zapłacenia czynszu najmu kwartalnego. W bieżącym sezonie krytyczny czas trwa nieco dłużej a zwyżka cen sarn nastąpi dopiero po wydaniu zakazu sprzedaży jeleni w dniu 14. bm.

Obecnie od piątku tj. 8 bm. mamy śnieg, wobec czego i z powodu ochrony dla zajęcy, rozpoczyna się ruch wprawdzie powolny ale lepszy.

Wskutek tego podskoczyła cena zajęcy do 3 kor.

Świeże rogacze sprzedaje się po 1 kor. 40, zaś dawno strzelane (altgeschossen) 1 kor. 20 h.

Również dziki ucierpiały. W braku jeleni popyt jest za dzikami, czego dotąd nie było.

Warchlaki świeże są poszukiwane, również dzikie kaczki i jarząbki.

Obecnie notują włącznie z podatkiem spożywczym en gros „ab Halle“:

Jelenie 68—70 h. za 1 Kg. — Łanie 70—72 h. za 1 Kg. — Daniele 75—80 h. za 1 Kg. — Rogacze 1 k 20 h. do 1 k 40 h. za 1 Kg. — Warchlaki 1 k 20 h. do 1 k 40 h. Dziki 60—70 h. za 1 Kg. — Zające 2 k. 80 h. do 3 k. za sztukę. — Bażanty (koguty) 4 k. 20 h. do 4 k. 80 h za sztukę. — Bażanty (kury) 2 k. 40 h. do 2 k. 90 h. za sztukę. — Dzikie kaczki 2 k. 10 h. do 2 k. 20 h. za sztukę. Jarząbki 2 k. 30 h. do 3 k. za sztukę.

Józef Schmerl Graf.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

Leśniczy i bażantnik, doświadczony w służbie lasowej i hodowli bażantów, szuka stałego zajęcia. — Ma lat 30, ukończył szkołę lasową z celującym postępem, doświadczony w tępieniu drapieżników i tresuje dobrze psy — od lat pięciu ma sobie powierzony samoistny rewir i bażantarnie w której rocznie pada 500 — 700 kogutów i bażanciel.

Wstąpić do służby może 1. kwietnia 1901. Łaskawe zgłoszenia proszę nadsyłać pod adresem „Leśniczy", do administracyi „Łowca".

Suka, rasy nowo-niemieckiej z doskonałego gniazda (ma rodowód) ciemno-kasztanowata z brudno-białawą plamą na piersiach, doskonale ułożona, w drugiem polu, do sprzedania za 300 koron. Uszew, hr. Sumiński.

Para slicznych 4 miesięcznych piesków legawych rasowych, jest do zbycia po cenie 50 koron. Łaskawe oferty p. F. S. post-rest. Bogumiłowice.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**